

jest zorganizowanych trzydzieści cztery dziesiątki. Szło bardzo opornie i prawie wątpilem.

Żalecki wpatrzył się w niego, odłożywszy nóż i widelec. Słyszał takie pochwały o nim od Pawia i dowiaduje się, że zaledwie trzystu czterdziestu ludzi zdołał zorganizować po trzech latach i to, jak mówi, z trudem.

— I jaka była przyczyna waszego niepowodzenia?

— Najzwyczajniejsza w świecie, byłem głupi — zaśmiał się — chciałem bądź co bądź wprowadzić teorię w życie, no i stałem w miejscu, co zrobić krok naprzód, prawda życia odrzuca mnie krok wstecz.

— Nie rozumiem was.

— Głosiłem, że wszyscy robotnicy są braćmi bez różnicy narodowości, a życie dawało mi majstrów i starszych Niemców, prześladowających robotników polskich w imię interesów narodowych; robotników rosyjskich, odbierających w imię protekcyi narodowej chleb naszym biedakom. Bronilem winnych brakiem uświadczenia; słuchano, kiwano głowami i odwrócono się odemnie, bo wiecie, głód nie czeka, krzywda nie przestaje boleć mimo najwznioślejszych słów i hasel unicestwianych i zginiatanych prawdą życia. A jednak byłem tak zaślepiony, że nie rozumiałem tego i dwa lata straciłem na bezowocnej pracy i bezcelowych wysiłkach.

Żalecki słuchał go uważnie i przyszedł do przekonania, że Paweł przecenił wartość Komara. Spozstrzegł to Komar i rzekł:

— Przypuszczacie — uśmiechnął się — że nie umiałem trafić w sedno... i to możliwe. Radzę wam jednak bardzo szczerze nie zaczepiać zbyt blisko religii, stosunków rodzinnych... zresztą sami wyczućcie miarę, i tego nie można się nauczyć, jak tylko doświadczeniem. I uważacie, nie galopujcie... dalej dojdziecie krokiem miernym, jednostajnym.

— Wiem o tem.

Komar zadzwonił i zażądał rachunku, chciał płacić za siebie Żalecki, lecz sprzeciwił się Komar w imię gościnności i pierwszego spotkania w Warszawie.

— Chodźmy już, bo to kawał drogi.

Gdy byli na ulicy, Żalecki, wspomniawszy Helenę, postanowił poradzić się Komara i po kilku ogólnikowych fraszach o Warszawie, skorzystał z chwilowej pauzy i rzekł:

— Mam do was interes drugi i pozwolicie, że go teraz przedłożę.

— Mówcie.

— Przyjechała ze mną koleżanka, nasza towarzyska i ona chciałaby wziąć udział w robocie, co radzicie?

Komar wstrzymał się, spojrzał w oczy Żaleckiego i spytał:

— Czy to kochanka? żona?

— Ani jedno, ani drugie... towarzyska.

— Wiecie, że u nas prawda zobowiązuje?

— Wiem i upewniam was, że mówię tylko prawdę.

— Bo uważacie — szli dalej obok siebie — my musimy być bardzo, ale to bardzo czysti moralnie... nie może być cienia podejrzenia. Zresztą nam potrzeba siły, a tę marnujecie z kochanką; my każdej chwili stawiamy w naszej grze życie nasze, a kochanka czy żona utrudnia decyzję. Strzeżcie się miłostek i kochanek... Co do tej towarzyski, koleżanki waszej z uniwersytetu, może da się użyć z czasem; czy ma utrzymanie?

— Nie, niema. Szuka zajęcia.

— Pomyśle... rozpytam się... Na razie nic nie wiem, ale czasem trafi się niespodzianka. W każdym razie poradźcie jej, aby kupiła sobie naukę buchalteryi i niech studjuje.

— Dobrze, dziękuję wam.

— A wy pod którym numerem w hotelu?

— Dwudziesty siódmy.

Gdy już się zbliżyli do cukierni narożnej, rzekł Komar:

— Pójdę przodem... wy wejdziecie w kilka minut i nie siadajcie przy mnie... znają mnie wyżyły, bo jestem pod dozorem.

— Rozumiem.

Komar wszedł przez frontowy sklep cukierniczy i skierował się wprost do salki z bilardem. Z jednym z grających zamienili spojrzenie, a Komar nie witając się, usiadł przy stoliku bocznym, i kazał podać herbatę.

W salce było z dziesięć osób. Komar, wzięwszy gazetę do ręki, pilnie z pod oka przypatrywał się wszystkim. W cieniu pod oknem dostrzegł również czytającego pilnie, mimo niedostatecznego światła, i zauważył błysk jego oczu od czasu do czasu i lekkie nachylenie się w stronę mówiących.

— Jesteś ptaszku — uśmiechnął się wzgardliwie — no, mnie nie schwycisz — i spokojnie czytał dalej.

Wszedł Żalecki, pokręcił się po sali, szukając wolnego miejsca, a widząc, że przy stoliku pod oknem siedzi tylko jeden pan, zbliżył się i usiadł.

Tamten obejrzał go troskliwie, a gdy Żalecki nie dostrzegł cukru, dawanego do kawy, nieznanomy pospiesznie polecił chłopcu przyniesienie i zwracając się:

— Tu marna usługa, nie taka, jak w pańskich cukierniach Lursa.

— Nie znam jej.

— I ja nie... bo przecież pracującemu ciężko na takie zbytki — westchnął — raz tylko jeden byłem w Udziałowej, pan zapewne tam często.

— Ja nie tutejszy... nie znam — i wpatrzył się ciekawie w twarz narzucającego się. Wyraz był dobronudny, słodki, uśmiechnięty, a wygląd ogólny mógł tak dobrze znamionować niższego urzędnika, jak i rzemieślnika.

— Więc pan przyjechał do Warszawy — uśmie-



...Ja nie tutejszy, nie znam — i wpatrzył się ciekawie w twarz narzucającego się...

chnął się — na tańce, zabawę, hulankę... szczęśliwy!

— W interesach rodzinnych — i chcąc się pozbyć indagowania — pan pozwoli mi gazety.

— I owszem, proszę... nic ciekawego.

— Dla mnie świeże nowiny — i zaczął czytać.

W czasie swej rozmowy z nieznanym zauważył, że Komar wstał i z ciekawością śledził grę bilardową, a nawet robił uwagi.

Nieznanomy jeszcze raz obejrzał Żaleckiego, wstał i z rękami w tył założonemi zwolna podszedł do bilardu, patrząc z zajęciem na biegnące bile.

Komar usiadł przy swym stoliku, zapłacił i po chwili wyszedł.

Żalecki przeczekał kilka minut i również wyszedł. Gdy stał niezdeterminowany, w którą iść stronę, usłyszał cichy gwizd i dojrzał Komara po przeciwnej stronie ulicy.

— Rozmawialiście ze szpiclem, Buczku, jakże wam się podoba?

— On szpieg? Nie poznałem.

— Zapamiętajcie jego rysy, bo wygląd dość często zmienia.

— Tak, pamiętam.

— Utrwalcież, bo przyda się wam. Teraz pójdziemy do dobrej restauracyi, on w tem przebraniu nie przyjdzie, a musi coś przewąchiwać, gdy siedzi w tej dziurze.

— A Gołąb będzie?

— Już wie.

Weszli do restauracyi jasno oświetlonej, a usiadłszy przy stoliku, kazali podać piwo.

Rozmawiali o stosunkach galicyjskich, aż wreszcie przyszedł Gołąb, blondyn szczupły, przystojny, lekko pochylony, z krótko strzyżoną brodą i po przywitaniu:

— Zostawiłem go, kogoś tropi, ale kogo?

— Miałem tam dwóch znajomych, ale ich uprzedziłem — rzekł Komar.

Po wyjaśnieniu kwestyi umieszczenia Żaleckiego, mówił Gołąb:

— Jutro ze świadectwami pójdziecie wprost do dyrektora, będziecie mówili po niemiecku... Dowiedzieliście się o miejscu od Fryderyka Bauer, niskiego, z brodą szpakowatą, utykającego na lewą nogę. Jechał do Magdeburga i opowiadał ogólni-

kowo o tem miejscu. Czy wam się uda? nie wiem... w każdym razie nie znamy się.

— Dziękuję wam... zatem Fryderyk Bauer?

— Tak jest... również chemik, wyjechał przed dwoma dniami, a mogliście się spotkać na piwie szwehackiem. Informacyi co do ludzi nie potrzebujecie na razie... a proszę i radzę ostrożność wielką.

— Byliście Gołąb, na posiedzeniu?

— Nie mogłem... ale pisma dojdą na miejsce przeznaczenia.

Komar zaczął się dopytywać o jakieś sprawy i ludzi, ale tak urywaniem zdania i wyrazami, że Żalecki słuchając, zaledwie pięte przez dziesiąte rozumiał, domyślał się tylko, że idzie o jakieś dziesiątki i działalność nieznanym mu ludzi.

Rozmowa zesłała na zwykłe sprawy i na politykę. Wojna z Japonią budziła w obu nadzieję osłabienia despotyzmu i systemu ucisku.

— Ale, ale, Gołąb — wtrącił nagle Komar — nie słyszeliście o miejscu jakim dla inteligentnej towarzyski?

— Owszem, słyszałem. Mówił mi Leman, że na miejsce aresztowanej Kazi poszukują kogoś. Czy ona tutejsza?

— Nie, zagraniczna — wyjaśnił Żalecki.

— Tem lepiej — uśmiechnął się Gołąb — bo tam nie chcą tutejszej. Zajęcie nie zbyt ciężkie, zapisywanie ilości wziętych motków, bo to fabryka dywanów i jakieś inne drobne obowiązki.

— A spotkania często Lemana?

— Nie bardzo.

— Napiszcie kilka słów dla oddawczyni, a ja się przypiszę — rzekł Komar.

— Napisać?... Czy ona pewna? — wahał się — bo może nas trzech narazić.

— Ręczę za nią... sam Paweł wysyłał ją z odezwami — spojrzał porozumiewawczo na Komara.

— Pewna — potwierdził Komar — piszcie.

Garsona, usługującego w tym pokoju, nie było na razie, podszedł inny, który ze szczególnym szacunkiem skłonił się przed Komarem, a gdy przyniósł papier i pióro, spojrzał tak wymownie na Komara, że ten wstał, a garson, usunawszy się głębiej, szeptał mu coś do ucha, co zaniepokoiło słuchacza, zadał pytanie i z uśmiechem przyjaznym uściśnął skrycie rękę garsona.

— Co się stało? — spytał cicho Gołąb.

— Kapitan żandarmeryi, Bolcew, dziś pojechał na rewizję do Żyrardowa; uprzedzono jego wizytę, dzięki jego zapobiegliwości.

— Co? wygadał się? — uśmiechnął się Gołąb.

(Ciąg dalszy nastąpi).